

Tematy tygodnia

- 10 Rafał Kalukin **Wszędzie Jaki**
13 Rafał Woś **Czy Polacy
wyzyskują Ukraińców**

10



Patryk Jaki
– najważniejszy minister RP

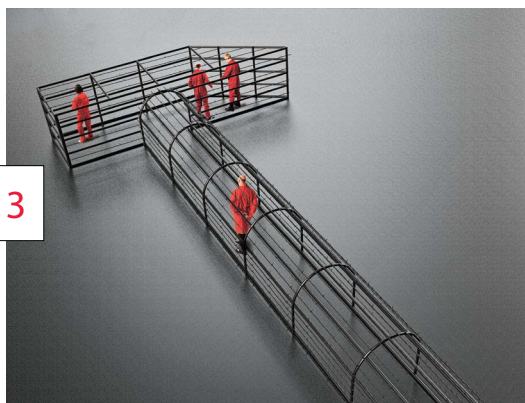
Polityka

- 16 Mariusz Janicki
Wiesław Władyka
Samobiczownicy z niePiSu
18 Anna Dąbrowska
Studenckie śledztwo Ziobry

Społeczeństwo

- 22 Rozmowa z **Mikołajem
Grynbergiem**, autorem
przygotowywanej do wydania
„Księgi wyjścia” – zbioru
rozmów o Marcu '68
24 Rozmowa z **Ronenem
Bergmanem**, dziennikarzem,
który zadał pytanie premierowi
Morawieckiemu
26 Juliusz Ćwieluch
Trumny z kartonu
30 Edyta Gietka **Janckorona:
spór o patronów szkół**

13



Czy mamy w kraju obozy pracy

Rynek

- 32 Maciej Zakrocki
Unijne gry budżetowe
35 Rozmowa z socjolożką
Anną Gromadą o tym,
dlaczego Polacy chcą,
ale nie mają więcej dzieci
38 Cezary Kowanda
Coraz mądrzejsze domy

46



WŁOCHY Powrót Berlusconiego?

Świat

- 46 Martyna Urbaniak **WŁOCHY
Czy Włosi obalą
gerontokrację**
49 Jędrzej Winięcki **SYRIA
Amerykańsko-rosyjska
potyczka, której nie było**
52 Adam Krzemiński **AUSTRIA
Strach o przyszłość**

74



Komu Oscary (i po co)

Historia

- 54 Jerzy Besala
**Konfederacja barska
– pierwsza
polska insurekcja?**

Nauka

- 58 Wojciech Mikołuszko
Kolibier – ptak niemożliwy
61 Przemek Berg
Zdjęcie z końca świata
62 Paweł Walewski
Żywe leki na białaczkę

Ludzie i style

- 64 Michał Zaczaryński
**Sneakersy
– głośne cichobiegi**
68 Jan M. Długosz
**Samooszustwo
o samoobronie kobiet**

Kultura

- 74 Janusz Wróblewski
Kto dostanie Oscara
78 Rozmowa z **Jakubem
Lewickim i Mateuszem
Nowickim**, muzykami
nagrodzonego Paszportem
POLITYKI zespołu Hańba!
80 Piotr Sarzyński
**W co inwestuje
minister kultury**
82 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
84 Agnieszka Zagner
**Głośny dokument
„Ostatni w Aleppo”**
86 Janusz Wróblewski
Berlinale: kino bolesne

Na własne oczy

- 92 Tekst i fotografie
Marcin Szczepański
**Haiti: słodka czekolada
na gorzką rzeczywistość**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 5 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 88 Passent
- 89 Hartman
- 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy, plusy i minusy
- 98 Polityka i obcyżaje



www.mleczko.pl

GALEERIA ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Marszałek
rzuca urok

Mało kto rozumie dziś politykę zagraniczną rządu PiS. Z ujawnionego przez „Gazetę Wyborczą” raportu pt. „Obecność i postrzeganie Polski w mediach zagranicznych w 2017 na podstawie doniesień placówek” wynika, że nie rozumie jej nawet samo MSZ. Raport pokazuje, że MSZ jest tą polityką bardzo zaniepokojone, gdyż uważa, że prowadzi do fatalnych dla Polski skutków. Według autorów dokumentu jedynym krajem, w którym w 2017 r. odnotowano zrozumienie dla polityki PiS, była Białoruś. Nie jest jasne, dlaczego Białoruś ma dla polityki PiS zrozumienie, ale wydaje się, że decydujący wpływ mogła mieć wizyta w tym kraju marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego, który oczarował Białorusinów wysoką kulturą oraz wysoką oceną prezydenta Łukaszenki, przyczyniając się w ten sposób do odbudowy reputacji Polski. Okazało się, że w krajach takich jak Białoruś urok i salonowe obycie marszałka Karczewskiego może zdziałać cuda. Nie dziwi mnie to, gdyż liczne wypowiedzi marszałka pokazują, że nawet on sam jest pod silnym wrażeniem własnego uroku i bardzo lubi to, jak mówi.

A mówi rzeczy ważne, niedawno ogłosił np., że przyjęta przez Sejm i Senat oraz podpisana przez prezydenta nowelizacja ustawy o IPN nie będzie działała. „Ktoś musiałby być



straceniem i osobą nieodpowiedzialną, żeby stosować przepisy obowiązujące w uchwalonej przez Sejm ustawie”, przyznał, pokazując, że w jego osobie doczekaliśmy się polityka odpowiedzialnego i obdarzonego wyobraźnią. Trudno powiedzieć, czy samo oświadczenie Karczewskiego wystarczy do niedziałania uchwalonej przez Sejm i podpisanej przez prezydenta ustawy, w każdym razie ja na jej miejscu poważnie zastanowiłbym się, zanim zacząłbym działać.

Słuchając Karczewskiego, prawnicy pukają się w czoło, ale moim zdaniem ma on pełne prawo domagać się niedziałania ustawy, której uchwalenie osobiście przeforsował, wychodząc z założenia, że głupia i szkodliwa, ale uchwalona ustawa o IPN, która w wyniku jego oświadczenia nie będzie działać, jest dla wizerunku Polski lepsza od ustawy, która by nie działała tylko dlatego, że w ogóle nie została uchwalona. Swoim oświadczeniem Stanisław Karczewski pokazał, że jest politykiem charyzmatycznym, dlatego jestem przekonany, że również w przyszłości nie zawiedzie i w celu uprzedzenia szkodliwych działań nieodpowiedzialnych straceniów nie cofnie się przed wstrzymaniem działania niesłusznie obowiązujących ustaw, z ustawą zasadniczą włącznie.

Technika wstawiania z kolan



Jerzy Baczyński

Jest taka dość wyświechtana publicystyczna fraza, wygłaszana zwykle w kontekście polskiej polityki zagranicznej: „Na Kremlu właśnie otwierają szampana”. Gdyby naprawdę, przy każdej międzynarodowej wpadce polskiego rządu, ludzie Putina otwierali szampana, musieliby być wiecznie na rauszu. Brak jednak dowodów, żeby dzisiejsza Polska szczególnie absorbowała czy w ogóle obchodziła rosyjskie władze. Pewnie jest, „na Kremlu” jakieś stanowisko do spraw Polski, z którego nadzorowane są operacje specjalne, zwłaszcza w polskim internecie, bo o tego typu rutynowych działaniach rosyjskich służb mówią przedstawiciele wszystkich rządów zachodnich, a Amerykanie ostatnio ujęli nawet grupę sprawców (ang. *perpetrators*). Ale wobec Polski nie potrzeba szczególnych zabiegów czy nacisków; rzeczywistość jest tak, że niemal wszystko, co w stosunkach ze światem czyni rząd PiS, obiektywnie sprzyja interesom Rosji i to pewnie nie dlatego, że ta władza jest głęboko zinfiltrowana przez rosyjską agenturę wpływów, lobbing czy korumpowana przez rosyjskie pieniądze. Są jakieś niepokojące, mroczne tropy zbiegające się wokół Antoniego Macierewicza, ale głęboko prorosyjska jest sama istota, logika geopolityki PiS.

Wtej części globu to, co antyzachodnie, staje się niemal z automatu prowschodnie, a PiS zafundował nam absurdalną sekwencję konfliktów z dotychczasowymi sojusznikami. Każde „nieporozumienie” miało swoją genezę i przebieg, ale efekt jest zbliżony: Izrael, Stany Zjednoczone, Francja, Niemcy – ze wszystkimi mamy dziś, mniej lub bardziej, na pieńku, czego nie zasłonią dyplomatyczne frazesy. Relacje polsko-ukraińskie są tak złe, jak nie były nigdy od czasu uznania przez Polskę ukraińskiej niepodległości. W dodatku to dla nas nie jest bynajmniej kwestia wyłącznie bezpieczeństwa zewnętrznego. W Polsce przebywa 1–1,5 mln pracowników z Ukrainy (jak są traktowani, piszemy na s. 13) i są oni naszej gospodarce niezbędni. Podkreślanie przez władze nastrojów „antybanderowskich” to prosta i krótka droga do aktów nieprzyjaźni wobec przybyszów zza miedzy. Oby nie, ale igramy tu z ogniem. Jednak w sumie najgorsze jest to, co stało się przez ostatnie dwa lata w relacjach Polski z Unią Europejską.

Mieliśmy w minionym tygodniu w Brukseli spotkanie na szczycie, poświęcone przymiarkom do unijnego budżetu na kolejną 7-latkę (ciekawa analiza na s. 32). Rząd Polski startuje do tego negocjacyjnego maratonu osłabiony, osamotniony, skompromitowany nie tylko – wytykanym przez Komisję Europejską – naruszeniem praworządności w kraju, ale też najświeższym konfliktem z Izraelem i ze światową społecznością żydowską. Konfliktem wizerunkowo doszczętnie

przegranym. Na nic samopocieszenia, że „obie strony” dążą do uspokojenia emocji, że działanie ustawy zostanie być może zamrożone i zaraz wszystko się powyjaśnia – nic z tych rzeczy. Stała się rzecz okropna i trudno odwracalna: za sprawą PiS wrócił stereotyp Polaka-antysemity, degradujący nas w oczach zachodniej opinii publicznej. Prawda – zresztą jak ją mierzyć? – nie ma znaczenia. Rząd PiS zbyt długo tolerował antysemitkę wybryki we własnym politycznym zapleczu, aby skutecznie powstrzymać tę katastrofę.

Ten antysemitki rys doskonale się zresztą spasał z twardą antyuchodźczą narracją władzy od dwóch lat przekonującej Europę, że Polacy nie chcą u siebie żadnych obcych, nikogo nie przyjmą, bo przybysze z Bliskiego Wschodu mogą przecież zabijać polskie dzieci (to premier Szydło) lub przywlec pasożyty (to Jarosław Kaczyński). Fakt, że polska prawica dla celów wewnętrznej polityki powieliła stare nazistowskie chwytły retoryczne, został zauważony i zapamiętany. Do tego jeszcze nonszalanckie słowa premiera Morawieckiego w Monachium i prowokacyjne opowieści doradcy prezydenta Dudy o żydowskich tchórzach, cytowane obficie w światowych mediach. Niby w negocjacjach budżetowych chodzi tylko o pieniądze, ale w tej rozgrywce na stole kładzie się różne karty – pozycję polityczną kraju, jego wiarygodność, sojusze, reputację. Te karty mamy dziś wyjątkowo słabe i poplamione.

Uważa się powszechnie, że jest tylko jedna osoba, która mogłaby realnie zmienić niezborną i szkodliwą dla interesów Polski politykę zagraniczną. Działacze PiS powtarzają, że co jak co, ale przecież Jarosławowi Kaczyńskiemu nie można zarzucić, że jest antysemitki, antyukraiński czy antyeuropejski (czego miałyby dowodzić przede wszystkim wypowiedzi i czyny Lecha Kaczyńskiego). Być może prezes – są tego sygnały, choćby zmiana na stanowisku premiera i ministra spraw zagranicznych – chciałby jakiegoś retuszu zewnętrznego wizerunku swoich rządów, ale nie pozostawił sobie, niestety, pola manewru. Kaczyński, bez względu na własne poglądy, coraz bardziej jest dziś zakładnikiem swoich ludzi, swojej propagandy i wyborców. Prezes zgromadził wokół siebie pewien szczególny typ osobowości, dość odległych – mówiąc oględnie – od powszechnie akceptowanych standardów rozważli, umiaru, powściągliwości. Wizerunek PiS budują dziś głównie radykałowie: Jaki, Ziobro, Świrski, Macierewicz, Pawłowicz, Czarnecki; także radykalny, zwłaszcza w swych osądach historycznych, Morawiecki i dziesiątki innych uczestników nieustającego konkursu, kto ostrzejszy w słowach i bardziej bezkompromisowy.

Raz przyjęta taktyka niecofania się ani o krok, demonstrowania siły i bezwzględności władzy (s. 16) bardzo utrudnia rewizję konfrontacyjnej, godnościowej polityki. Agresywna własna propaganda zatrasnęła też drzwi do negocjacji, choćby w sprawie przyjęcia jakichkolwiek grup uchodźców, powstrzymania tzw. reformy sądownictwa, jednoznacznego odrzucenia „ustawy o Holocaustu”, a nawet – co też zwiększyłyby pole manewru w polityce europejskiej – do rozmów o naszym ewentualnym wejściu do strefy euro. Polska, jak alarmował poufny wewnętrzny raport MSZ, ma dziś na świecie dramatycznie zły wizerunek. I z własnej woli bardzo niewielkie możliwości jego zmiany. Godnościowe wstawianie z kolan zastężyło w fazie wypinania się na cały świat.

Jan Koza



© JAN KOZA

Wybory samorządowe – mało ludzi i pieniędzy

Przed urzędnikami Krajowego Biura Wyborczego stoją liczne zadania, zmaganie się z finansowym niedostatkiem i skomplikowaną logistyką wyposażenia lokali wyborczych w kamery. A czasu coraz mniej.

Wybory samorządowe, choć bliższe ludzkim problemom, dotychczas odbywały się w cieniu elekcji do parlamentu. Tegoroczne, w związku ze spóźnioną, ale niezwykle głęboką nowelizacją Kodeksu wyborczego, zapowiadają się ekscytująco. A ich harmonogram przypomina film akcji. Przynajmniej w takim tempie trzeba będzie stworzyć niemal od zera cały aparat urzędniczy do obsługi wyborów. I mieć nadzieję, że aktorzy, czyli nowa szefowa Krajowego Biura Wyborczego, stu nowych komisarzy wyborczych i około 5 tys. urzędników wyborczych zagrają swoje kwestie. Łatwo nie będzie, bo dotychczas udało się wybrać tylko szefową KBW. Została nią **Magdalena Pietrzak**. To również filmowa kariera, bo jeszcze niedawno sama była urzędnikiem samorządowym średniego szczebla (sekretarz powiatu łowickiego), a od marca odpowiadała będzie m.in. za wybór wszystkich samorządowców w kraju.

Z wyboru Magdaleny Pietrzak z pewnością najmniej ucieszył się starosta łowicki Krzysztof Figat, który po objęciu stanowiska zwolnił ją z pracy, a później przegrał z nią sprawę w sądzie pracy. Wojciech Hermeliński, przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej, o kompetencjach szefowej KBW wyraża się ostrożnie, mówiąc, że spośród trzech kandydatów zgłoszonych na to stanowisko przez szefa MSWiA miała „najwięcej może kontaktu” z prawem

wyborczym. Choć jednocześnie zastrzegł, że wszyscy kandydaci mieli ten kontakt „dość epizodyczny”.

Z filmem, ale bynajmniej nie akcją, wyborcy połączy również kwestia transmisji wideo. Po nowelizacji przepisów praca wszystkich z około 28 tys. obwodowych komisji wyborczych ma być rejestrowana i udostępniana w trybie online. To zadanie bardzo ambitne. W zestawieniu z terminem wyborów (koniec października, ewentualnie pierwszy tydzień listopada) staje się wyjątkowo ambitne i równie mało realne do wykonania w zadowalającym standardzie. Realne będą za to koszty tego przedsięwzięcia. Według ustępującej



© KRYSZTOF MAJ/FORUM

ze stanowiska szefowej KBW zakup systemu kamer i zapewnienie transmisji z każdej komisji kosztowało będzie około 134 mln zł. Trzymając się szacunków KBW, zamontowanie kamery w jednej komisji wyborczej kosztować ma 3 tys. zł. Otwarte pytanie brzmi, jak i gdzie mają być zamontowane kamery? Co mają nagrywać i czy nie wpłynie to na liczbę chętnych do obsługi wyborów, skoro każdy z członków komisji nagrywany będzie wraz ze swoim imieniem i nazwiskiem na kartce przed sobą. No i jak się będą czuli z tym wyborcy, którzy również choć przez chwilę pojawiają się w oku kamery, a nawet można będzie dokładnie sprawdzić, kto głosował, a komu się nie chciało. A przecież będzie to pierwszy sprawdzian, jak po dwóch latach rządów PiS rozkładają się wyborcze preferencje i ponadto tym razem wybieramy samorządowców na rok dłuższe, bo pięcioletnie kadencje.

Iście filmowy będzie również ogólny budżet wyborów, na które już dziś brakuje co najmniej 600 mln zł. O taką kwotę wystąpiła do premiera ustępująca szefowa KBW. A to dopiero początek wydatków. W ciągu najbliższych pięciu lat Polacy aż siedem razy pójdą do urn. Pod warunkiem że prezydent nie wpadnie na pomysł organizacji kolejnych referendum. Przy czym ciągle nie wiadomo, kiedy i w jakim kształcie ma się odbyć referendum konstytucyjne, o którym prezydent mówi już od kilku miesięcy, ale ciągle brak konkretów. JULI

Rządowe obchody rocznicy Marca '68

Udział ludzi władzy w 50. rocznicy wydarzeń marcowych wygląda co najmniej skromnie.

Rocznicą Marca '68 już w przyszłym tygodniu, wystąpiliśmy więc do Centrum Informacyjnego Rządu z pytaniem, jakie uroczystości są w związku z tym planowane i kto ze strony rządu będzie brał w nich udział. „Prosimy o kontakt w sprawie uroczystości z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego” – otrzymaliśmy odpowiedź po dwóch dniach. Tam uzyskaliśmy listę „wydarzeń związanych z obchodami rocznicy Marca 68”, które od strony rządowej koordynuje resort. Wynika z niej, że przedstawiciele rządu – premier Mateusz Morawiecki wspólnie z wicepremierem Jarosławem Gowinem – wezmą udział w jednym wydarzeniu: konferencji pt. „Marzec 68. Ogólnopolski Ruch społeczny przeciw komunizmowi”, która odbędzie się 7 marca o godz. 17 w Auditorium Maximum na Uniwersytecie Warszawskim. Jak podało

ministerstwo, w konferencji ma wziąć udział także Irena Lasota, aktywna uczestniczka wydarzeń marcowych, która walczyła o przywrócenie wyrzuconych za udział w demonstracjach przeciwko zdżęciu przedstawienia „Dziadów” studentów, w tym Adama Michnika. Początkowo organizatorzy pominęli ją, a także samego Michnika. Gdy wyszło to na jaw, premier zapowiedział, że będzie się starać, aby Lasota pojawiła się na uroczystościach. W konferencji mają także wziąć udział historyk prof. Jerzy Eisler (dyrektor warszawskiego oddziału IPN) i ekonomista prof. Wojciech Roszkowski (były europarlamentarzysta PiS).

Oficjalnie obchody zainauguruje 6 marca koncert Nikołaja Znaidiera w Filharmonii Narodowej, światowej sławy skrzypka o korzeniach

polsko-żydowskich. Następnego dnia ma być recital Romana Markowicza, wybitnego pianisty, który w 1968 r. został zmuszony do przerwania nauki w Akademii Muzycznej i wyjazdu z Polski. W planie obchodów mają być prezentacje multimedialne „Zdjęcia, które Żydzi Polacy zabrali ze sobą po Marcu 68” z cyklem debat, prezentacja „Mój 1968” z panelem dyskusyjnym we Wrocławiu „Obraz wroga – Marzec 68 w karykaturze”, debata „Rozgrywki frakcyjne przed Marcem 68”, spektakl teatralny „Życie przecięte” w teatrze Dom w Łodzi, wieczór wspomnień o Idzie Kamińskiej. 12 marca w Łodzi pod patronatem honorowym prezydenta Andrzeja Dudy odbędzie się „Przerwana lekcja” – spotkanie byłych uczniów Szkoły Żydowskiej im. I. Pereca z młodzieżą z VII LO w Łodzi. VIKR



Fałszywa historia jako mistrzyni fałszywej polityki

Przy tak poważnych lukach w wiedzy historycznej, braku umiejętności dyplomatycznych i beztroście, z jaką premier Morawiecki podchodzi do swoich wystąpień, walka o dobre imię Polski jest skazana na porażkę.

Tezę zawartą w tytule sformułował Józef Szujski, jeden z najważniejszych polskich historyków, współtwórca krakowskiej szkoły historycznej i konserwatywny XIX-wieczny polityk. Uważał on, że idealizacja własnego narodu i brak krytycznego przemyślenia błędów popełnionych w historii prowadzą do podejmowania błędnych politycznych decyzji, także o strategicznym znaczeniu.

Teza pasuje jak ulał do poczynań premiera Mateusza Morawieckiego, który z wykształcenia również jest historykiem. Długo był bankowcem, a w dojrzałym już wieku nagle został politykiem – i to od razu wicepremierem, a po dwóch latach premierem polskiego rządu. Wszystko wskazuje na to, że polityczne gafy, jakie popełnia, wypowiadając się o historii, wynikają z jej niedostatecznej znajomości; pomimo historycznego wykształcenia. A mają one poważne konsekwencje polityczne.

Mateusz Morawiecki zaczął wypowiadać się na tematy historyczne tuż po tym, jak został premierem. Podczas brukselskiego szczytu Unii Europejskiej w połowie grudnia ubiegłego roku w rozmowie z prezydentem Macronem wdał się w karkołomne porównania pomiędzy obecną „reformą” polskiego sądownictwa a francuskimi rozwiązaniami przyjętymi po powrocie de Gaulle’a do władzy w 1958 r., zastosowanymi wobec sędziów orzekających w czasach Vichy. Analogia była zupełnie chybiona, a jej przywołanie zdecydowanie mało dyplomatyczne wobec prezydenta Francji. Mnie dodatkowo nieprzyjemnie zaskoczyło wymawianie imienia powszechnie znanej postaci historycznej Charles’a de Gaulle’a – jednego z największych Francuzów na przestrzeni dziejów – tak jakby był on Anglikiem (*Czarlis*), a nie Francuzem (*Szarl*), a jego nazwiska – z wyraźnym angielskim akcentem. Pomyślałem sobie, że historykowi to nie przystoi. Oczywiście nie był to także najlepszy sposób ocieplania stosunków polsko-francuskich.

Później było już tylko gorzej. W Oświęcimiu, w rocznicę wyzwolenia obozu zagłady, premier dopominał się o upamiętnienie Polski drzewkiem w Yad Vashem, chociaż drzewka tam zasadzone nie upamiętniają państw, ale konkretnych ludzi, którzy ratowali Żydów. Działo się to tuż po przegłosowaniu w Sejmie rządowego projektu nowelizacji ustawy o IPN, która wzbudziła oburzenie Izraela i środowisk żydowskich na świecie. Pogląd ten powtórzył kilkanaście dni później na spotkaniu w Chełmie.

Próbując gasić pożar w stosunkach polsko-żydowskich spowodowany nowelizacją ustawy o IPN, premier Morawiecki na początku lutego zaprosił zagranicznych dziennikarzy do muzeum im. Rodziny Ulmów na Podkarpaciu. Powiedział tam sporo słusznych rzeczy, ale także popełnił kolejną gafę, stwierdzając, że w okresie ćwierćwiecza wolnej Polski stracono szansę wyjaśnienia naszej historii. Kontekst wypowiedzi wskazywał, że premierowi chodziło o zaniedbania w badaniach historycznych dotyczących losów Polski podczas drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu, a także w zaprezentowaniu ich światu. Można by jeszcze zrozumieć, że pochłonięty bankową karierą absolwent studiów

historycznych nie śledził osiągnięć polskiej historiografii dotyczących najbardziej tragicznych kart naszych dziejów, ale w takim razie nie powinien – bez przygotowania – wypowiadać się na ten temat, formułując kategorię i skrajnie niesprawiedliwy osąd. Nic więc dziwnego, że wielu historyków poczuło się dotkniętym i niektórzy z nich postanowili wysłać swe książki do Kancelarii Premiera, aby szef rządu miał okazję uzupełnić zaległości w wiedzy na ten temat.

Wkrótce potem polski premier na konferencji w Berlinie oświadczył, że w 1968 r. nie było Polski. Chyba rozumiem, co chciał wyrazić: protest przeciwko obciążaniu polskiego społeczeństwa odpowiedzialnością za nagonkę antysemicką rozpętaną przez kierownictwo PZPR przeciwko „syjonistom” w Marcu ’68. Gdyby to powiedział, mógłbym się pod jego słowami podpisać. Nie sposób jednak bronić słów, które faktycznie padły. Od historyka i ważnego polityka wymagana jest wiedza i precyzja w formułowaniu myśli. To, co powiedział polski premier, można przecież interpretować tak: że nie dostrzega on żadnej różnicy między statusem uzależnionej od ZSRR i niedemokratycznej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej a Polską pod zaborami czy statusem, jaki miały republiki Związku Radzieckiego.

Mateusz Morawiecki nie uczy się na błędach i niedługo po występie w Berlinie doprowadził do dalszej eskalacji konfliktu w stosunkach z Izraelem i społecznością żydowską, wdając się beztroście w rozważania o żydowskich sprawach Holocaustu.

Zakładam, że premier Morawiecki naprawdę ma dobre intencje i rzeczywiście chce bronić polskiego imienia na arenie międzynarodowej. To imię zasługuje na obronę. Powinna ona być mądra i przewidująca skutki podejmowanych działań, gdyż w polityce liczą się przede wszystkim rezultaty. Te zaś są bardzo złe ze względu na poważne luki w historycznej wiedzy, brak umiejętności dyplomatycznych i beztrość premiera podczas – zaimprovizowanych bądź źle przygotowanych – wystąpień.

Największym błędem Mateusza Morawieckiego w „polityce historycznej” jest jednak to, że z przekonania czy konformizmu zaakceptował fałszywą tezę swojej partii o konieczności „wstawania z kolan” przez Polskę w stosunkach międzynarodowych i „zerwania z pedagogiką wstydu” rzekomo uprawianą przez poprzednie rządy wobec polskiego społeczeństwa.

W całej wyrazistości potwierdziła się słuszność tezy Szujskiego, że fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki.

Po 1989 r. mieliśmy rządy lepsze i gorsze, ale żaden nie uprawiał „pedagogiki wstydu” i nie usiłował w Polakach wzbudzać poczucia niższości czy innych kompleksów. Nie tylko nie musieliśmy więc „wstawać z kolan”, ale zwłaszcza w okresie ośmiu lat rządów koalicji PO-PSL rządzący starali się budować poczucie dumy narodowej z osiągnięć III Rzeczypospolitej, niekiedy nawet je wyolbrzymiając. Co w zamian proponuje PiS? Pogardę dla III RP i wizję narodu „bez skazy i zmayı”. Polacy zasługują na poważniejsze traktowanie.



Wszyscy ze wszystkimi

Wojna w Syrii osiąga kolejne, coraz bardziej tragiczne wymiary.

Baszar Asad bardzo chce wygrać wojnę w Syrii, ale do ogłoszenia zwycięstwa potrzebuje jeszcze kilku wygranych bitew. Jedną z nich i dramat 400 tys. ludzi rozgrywa się właśnie we Wschodniej **Ghucie** pod Damaszkiem, gdzie mimo rezolucji ONZ nie ustaje bombardowanie. „Kiedy my spieraliśmy się o przecinki, samoloty Asada zabiły więcej cywilów w ich domach i szpitalach, niosąc niewyobrażalne cierpienie” – przyznał brytyjski dyplomata Stephen Hickey. Rezolucja, która zakłada 30-dniowe zawieszenie broni i dostarczenie pomocy humanitarnej dla ponad 5 mln ludzi, pozostanie jednak raczej na papierze. Rosja np. wymusiła, by nie obowiązywała w operacjach przeciwko resztkom tzw. Państwa Islamskiego czy Al-Kaidy (te ostatnie są w Ghucie).

Ghuta powtórzy zapewne los Aleppo, a równie krwawych doniesień można się spodziewać z Idlibu, dokąd zepchnięto większość rebeliantów walczących w Syrii. W Idlibie operację prowadzi też Turcja, która chce odciąć tę prowincję od Aleppo i nie dopuścić, by syryjscy Kurdowie połączyli kontrolowane przez siebie tereny w północno-zachodniej i północno-wschodniej Syrii. Tam rozgrywa się inna odsłona wojny – nadal nie wiadomo, ilu rosyjskich najemników z tzw. grupy Wagnera, którzy chcieli przejść roponośne tereny, zginęło w amerykańskim nalocie w Dajr az-Zaur (więcej na s. 49). To był bolesny cios w sojuszników Damaszku. Kolejny zadała Asadowi właśnie Turcja, która odparła w Afrin wysłane tu przez niego na pomoc Kurdom bojówki i zagroziła, że podobne próby potraktuje tak samo. Wojna w Syrii przechodzi więc z fazy „wszyscy przeciwko islamistom” w fazę „wszyscy ze wszystkimi”.

Chcą zrobić szpiega z Corbyna

Wielka Brytania żyje aferą szpiegowską, tyle że bardziej spod znaku Monty Pythona niż Johna le Carré. Najpierw „The Sun”, a potem inne gazety należące do Ruperta Murdocha oskarżyły przewodniczącą Partii Pracy Jeremy’ego Corbyna, że przed laty był agentem na usługach komunistycznej Czechosłowacji. Źródłem rewelacji jest Jan Sarkocy, niegdyś faktyczny szpieg nieistniejącego już państwa, po dekonspiracji w 1989 r. wydalony z Wielkiej Brytanii: twierdzi że płacił politykom lewicowego ugrupowania nawet do 15 tys. funtów za poufne informacje. Sarkocy mieszka obecnie w Bratysławie, ale archiwa jego dawnego pracodawcy znajdują się w Pradze i to tamtejsi historycy już wypowiedzieli się, że nie ma żadnych dokumentów potwierdzających zarzuty, a związki Corbyna z Czechosłowacją sprowadzają się do tego, że w latach 80. wybrał się tam na wycieczkę motocyklową.

Sprawa prawdopodobnie skończy się sutym odszkodowaniem, co nie będzie precedensem: w 1995 r. „The Sun” również twierdziło, że były już przywódca laburzystów Michael Foot to komunistyczny szpieg. Proces tego nie potwierdził, korporacja Murdocha musiała wypłacić karę, a polityk chwalił się potem, że za pieniądze ideologicznego przeciwnika wyremontował sobie kuchnię.



Merkel szykuje następczynię

Niemcy lubią naigrawać się z Kraju Saary – najmniejszego landu, nie licząc landów-miast. Pewien satyryk oświadczył nawet, że Saara jest tak bez znaczenia, że mogłoby jej nie być. Stamtąd pochodzi **Annegret Kramp-Karrenbauer**, właśnie namaszczona przez kanclerz Angelę Merkel na nową sekretarz generalną CDU. 55-letnia Kramp-Karrenbauer, określana w mediach akronimem AKK, do niedawna kojarzona była tylko z Saarą. W 2011 r. została pierwszą kobietą na stanowisku premiera tego landu. Rządziła z takim powodzeniem, że przed wyborami w 2017 r. cieszyła się ponad 80-procentowym poparciem i wydatnie poprawiła ogólnoniemiecki wynik CDU.

AKK jest bezpretensjonalna i nieortodoksyjna ideowo, często podkreśla swój katolicyzm. Politycznie jest bardziej konserwatywna i bardziej

wyczulona na politykę społeczną od Merkel. Niedawno poparła odcięcie od państwowych funduszy skrajnie prawicowej i neonazistowskiej NPD, a przy okazji zeszlórocznej debaty nad legalizacją małżeństw homoseksualnych wyraźnie się im sprzeciwiła. W zeszłym roku oświadczyła, że nie pozwoli na wiece tureckich polityków, którzy objeżdżali wówczas Niemcy, choć akurat do Kraju Saary żaden z nich się nie wybierał.

Wielu członków CDU widzi w niej wschodzącą gwiazdę, choć bez doświadczenia ogólnokrajowego i bez znajomości m.in. polityki zagranicznej. Merkel chce przeciwną ją z polityki regionalnej na poziom krajowy. Od lat dobrze się dogadują i – jak podkreśla kanclerz – mogą na sobie polegać. Jej awans wygląda więc na pierwszy etap namaszczania.



© SIPA PRESS/EAST NEWS

Olej palmowy uzależnia

Unia chce zrezygnować z oleju palmowego, dla producentów to nieszczęście.

Unia nie umie się rozstać z olejem palmowym. Co prawda za jego szybkim wycofaniem, już do 2021 r., opowiedział się właśnie Parlament Europejski, ale ostateczna decyzja zostanie wynegocjowana przy udziale przywódców państw. Oni, czując naciski swojego przemysłu, woleliby, aby

olej palmowy został z nami na dłużej. Ten najtańszy tłuszcz roślinny służy m.in. do produkcji żywności i kosmetyków, jest też ważnym składnikiem biopaliw. Na początku XXI w. Europie wydawało się, że biopaliwa pozyskiwane z roślin uprawnych będą przyjaznym środowisku sposobem na częściowe

niezależnienie się od ropy naftowej. Po latach wyraźniej widać niekorzystne skutki promowania oleju palmowego, np. biodiesel z niego emituje 80 proc. więcej dwutlenku węgla niż ten z nafty.

Europejskie subsydia przyczyniły się także do wzrostu opłacalności uprawy palm olejowych. Ich gaje zakładane są w miejsce wycinanych lasów deszczowych w Azji Południowo-Wschodniej, przede wszystkim w Maleszji i Indonezji. Skalę zmian ilustrują najnowsze doniesienia o niespodziewanie szybko postępującej zagładzie orangutanów, z którymi dzielimy 97 proc. DNA. W latach 1999–2015 na Borneo wyginęło, m.in. w wyniku utraty siedlisk, 100 tys. orangutanów – aż połowa populacji.

Unijne wysiłki oprostowywane są przez rządy Indonezji i Maleszji. Tamtejsi rolnicy wychodzą na ulice, maleszjski premier nie jest pewny reelekcji. Padają argumenty o wprowadzaniu apartheidu w rolnictwie, łamaniu reguł Światowej Organizacji Handlu, kierowaniu się współczuciem dla przyrody, o ignorowaniu potrzeb drobnych, zazwyczaj biednych rolników. W Indonezji w branży pracuje 6 mln ludzi, w 30-milionowej Maleszji związanych jest z nią ok. 10 proc. mieszkańców.

Generacja Z się nie boi

Młodzi Amerykanie buntują się przeciwko łatwemu dostępowi do broni.



© EAST NEWS

Po niedawnej strzelaninie w szkole na Florydzie, gdzie od kul 19-latka zginęło 17 osób, można było usłyszeć tragiczne „nic nowego”. To wszak kolejna z serii takich masakr w USA, po których psychopaci wciąż bez trudu kupują pistolety maszynowe, aby znowu zabijać. A tu niespodzianka. Po zabójstwie w Parkland uczniowie szkół w całym kraju masowo protestują w Waszyngtonie, domagając się

od polityków, by wprowadzili restrykcje na sprzedaż broni. „Nie boimy się was, NRA” – głoszą banery demonstrantów. To wyzwanie rzucone Narodowemu Stowarzyszeniu Strzeleckiemu Ameryki, potężnemu *gun lobby*, któremu boją się narazić członkowie Kongresu. Demonstruje pokolenie urodzone już po pamiętnej strzelaninie w liceum w Columbine, po której szkoły amerykańskie organizują musztry-szkolenia przygotowujące na wypadek ataku. Ta „generacja Z”, jak ją nazwano (urodzonych po 2000 r.), ma już najwyraźniej dość.

Czy politycy ich wysłuchają? Sondaże wskazują na wzrost poparcia dla restrykcji na sprzedaż broni. Niektórzy republikańscy senatorowie wspominają o podniesieniu wieku uprawniającego do nabycia broni ofensywnej, jak użyty w Parkland karabin AR-15, czy o zakazie urządzeń zmieniających pistolet półautomatyczny w strzelający seriami. Nawet prezydent Trump, który w swej kampanii wyborczej deklarował solidarność z *gun lobby*, zasygnalizował gotowość poparcia tych propozycji. Ruch za ograniczeniem dostępu do broni zapowiada marsz na Waszyngton pod koniec marca. Pozostaje życzyć mu sukcesu.

Pogoń za Puigdemontem

Hispański obywatel doniósł policji, że w jednym z madryckich parków przebywa kataloński przywódca ścigany listem gończym Carles Puigdemont. Gdy agenci przybyli na miejsce, okazało się, że to nie były szef autonomii, tylko komik na niego ucharakteryzowany, nagrywający scenę do programu satyrycznego telewizji hiszpańskiej. Mniej komiczna jest sprawa hiszpańskiego artysty Santiago Serra. Przygotował na targi sztuki w Madrycie pracę o więźniach politycznych we współczesnej Hiszpanii. Instalacja obejmuje 24 rozpikselowane fotografie, w tym trzech liderów katalońskich – Junquerasa, Cuixarta i Sancheza oraz uchodźcy Puigdemonta – którym postawiono zarzuty działalności antykonstytucyjnej. Operator targów wezwał do usunięcia dzieła, ale do głosów protestu przeciw cenzurze dołączyła burmistrz Madrytu Manuela Carmena.

W samej Katalonii trwa pat polityczny. Według ostatnich sondaży 55 proc. mieszkańców chce „kontynuacji procesu niepodległościowego” (najlepiej drogą rokowań z Madrytem), a gdyby doszło do wyborów, partie niepodległościowe zdobyłyby większość absolutną.

Najważniejszy minister

Nieoczekiwanie, chyba również dla niego, Patryk Jaki stał się główną postacią rządu PiS. Nowy premier tego nie zmienił.

RAFAŁ KALUKIN

Patryk Jaki jak zwykle wymiata. Szacun dla tego gościa. Więcej takich, a wyjdziemy na prostą!
(z komentarzy sieciowych)

N

ie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Może i zwałił nam się na głowę cały świat i trochę nas przygniotło, może te nowe przepisy faktycznie są trochę bez sensu, może o polskich obozach koncentracyjnych trochę za dużo się teraz mówi, ale...

„Jestem przekonany, że bilans będzie pozytywny” – powiada w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” wiceminister sprawiedliwości i bez-

pośredni sprawca zamieszania Patryk Jaki. „To rodzaj katharsis, oczyszczenia. Mocne przełamanie. Wstrząs. Już wiemy, jak popsuty jest wizerunek Polski. Ale wiemy też, co robić. Gdyby tego punktu, przez który właśnie przeszliśmy, nie było, nasze dzieci byłyby za 20 lat wytykane na świecie palcami jako te współodpowiedzialne za Holocaust. A tak musimy stanąć w prawdzie, mamy szansę przywrócić światu prawdę o Polsce w czasie II wojny światowej”.

Patryk Jaki wie, co mówi. Już nie raz dowodził, że w łamaniu impozybilizmów nie ma sobie równych.

1 Ustawa o IPN powstała w Ministerstwie Sprawiedliwości jeszcze w 2016 r. W tamtym czasie jej autorowi udało się nawet raz czy dwa napomknąć o niej w mediach. Wielkiej uwagi jednak nie przyciągnęła. Wszyscy mieli na głowie znacznie ważniejsze sprawy. W zawrotnym tempie właśnie „przywracano pluralizm” w Trybunale Konstytucyjnym. A w resorcie trwały już zaawansowane prace nad koncepcją wyrwania sądów z łap sędziowskiej kasty i oddania ich obywatelom.

W tym wielkim dziele wiceminister Jaki całym sercem wspierał wysiłki swego ministerialnego i partyjnego pryncypała Zbigniewa Ziobry. Sam zaś najwięcej czasu i energii inwestował w program penitencjarny „praca dla więźniów” oraz stworzenie rejestru pedofilów. Walka z „polskimi obozami koncentracyjnymi” nie należała jeszcze do priorytetów rządu. O czym świadczy choćby to, że zadanie napisania ustawy powierzono młodemu, wtedy raptem 30-letniemu, politykowi, który o polityce historycznej i stosunkach polsko-żydowskich pewnie wiedział tyle, ile przeczytał w piśmie Karnowskich albo Sakiewicza. Czyli, że pedagogika wstydu to narzędzie elit służące do tresowania Polaków, a do tego wstająca z kolan ojczyzna narażona jest na potężne ataki dyfamacyjne wiadomych ośrodków, które odbierają narodowi godność.



Z drugiej strony Jaki nie był ponoć osobiście przekonany do pomysłu wsadzania do paki na pięć lat (później skrócono do trzech) każdego mieszkańca globu, który ośmiela się obwiniać polski naród o udział w zagładzie Żydów. Dał temu publiczny wyraz już po odmrożeniu projektu, gdy zajął się nim Sejm. W debacie wiceminister warunkowo zgodził się z krytykami ustawy, którzy twierdzili, iż nowego prawa w praktyce nie da się zastosować. Stwierdził jednak, że nawet jeśli taki instrument w niczym nie pomoże, to mimo wszystko warto go mieć. „Co mamy do stracenia? Nic gorszego się przecież nie wydarzy” – podkreślał.

Spudłował jednak straszliwie, gdyż raptem dwa dni później izraelska ambasador wypowiedziała nam w Auschwitz dyplomatyczną wojnę. Co poważnie obciążało konto Jakiego, który przez ostatni rok niejedną raz miał kontaktować się z izraelskimi dyplomatami. Oczywiście bronił się, że nie usłyszał od nich słowa skargi. Ale – jak ujawnił niedawno odwołany Witold Waszczykowski – MSZ już od dłuższego czasu ostrzegało przed skutkami ustawy. Kto więc spartaczył robotę? Być może najbliżsi prawdy byli autorzy plotkarskiej rubryki tygodnika „Sieci”, którzy napisali, że Izraelczycy faktycznie zgłaszali sugestie – tyle że językiem dyplomatycznym. Czego Jaki nie wychwytał, bo dyplomacją dotąd się nie parał i nie miał kto wytłumaczyć mu niuansów. W końcu jest tylko wyszczekany arywista „dobrej zmiany”, któremu być może przez nieuwagę powierzono o jedno zadanie za dużo.

2 Jak zaorać lewactwo? Są na YouTube całe kanały poświęcone wyłącznie tej sztuce. Każda produkcja wygląda mniej więcej tak samo. Najpierw idzie fragment telewizyjnej dyskusji, w której któryś ze złotoustych prawicy mówi, jak jest naprawdę, wdeptując w ziemię zaplutego karła politycznej poprawności.



A gdy temu ostatniemu brakuje już słów, następuje stopklatka i leci tłusty hiphopowy bit z gromko skandowanym „joł, joł, joł”. Na krańcującym z dumy obliczu zwycięzcy starcia dorysowane zostają zawiadackie czarne okulary. Za komentarz może robić napis „thug life”, co w miejskim slangu oznacza uznanie dla gangsterskiego stylu życia. Albo bardziej swojskie: „zaorane”, „zatkało kakało”.

Bohaterem ponadczasowym tego nurtu jest rzecz jasna Janusz Korwin-Mikke. Ale od jakiegoś czasu depczą mu po piętach młode wilki. Dominikowi Tarczyńskiemu nie można odmówić talentu, lecz szczególnie ceniony przez koneserów gatunku jest teraz Patryk Jaki. Gdy tylko zaorze jakiegoś platformersa albo salonowego dziennikarza, liczba winszowań pod filmikiem idzie w setki. „Szach i mat. Lubię Jakiego, jest inny, niż reszta PiSu”. „Patryk jak zwykle wymiata. Szacun dla tego gościa. Więcej takich, a wyjdziemy na prostą!”. „Zaorał sukę na maxa”. „Rozkur...! wiedzmy w drobny pył”.

Metoda Jakiego jest prosta i z reguły się sprawdza. Po pierwsze, zalać rozmówcę słowotokiem. To akurat dar boży, którego naszemu bohaterowi nie zbywa. A po drugie, zawsze mieć w zanadrzu haka. I to już dowodzi pracowitości młodego polityka, bo haki same z nieba przecież nie spadają. Czasem wręcz trzeba bardzo głęboko pogrzebać, aby ustalić, że oponent kilka lat wcześniej popierał rozwiązanie, które dziś krytykuje. Albo że powiedział coś, czego sam już pewnie nie pamięta. Mogą to być błahostki, sprawy grubo naciągane, często wręcz niemające już sensu bez uwzględnienia zmiennych kontekstów. Nic nie szkodzi, skoro to przecież nie proces sądowy, tylko medialny pojedynek. Rzecz w tym, aby zaatakowany zrobił krok w tył i zaczął się tłumaczyć. Wtedy już jest zaorany, chociaż biedak nawet o tym nie wie.

Oranie lewaka pod wieloma względami przypomina podwórkowe porachunki, w których teoretycznie najsilniejszy wcale nie musi wygrywać. Przede wszystkim trzeba bowiem lubić tę robotę oraz mieć wdrukowane w tyle głowy, że gęba nie szklanka, co się tłucze od byle czego. I być może właśnie na podwórku nabrał Patryk Jaki kompetencji w medialnym patroszeniu wrogów. Zresztą swoistą przysługę niechęcy zrobiła mu kilka miesięcy temu redakcja jednego z portali internetowych, publikując jego zdjęcie jako nastoletniego dresiarza spod bloku. Internetowy fanklub wiceministra sprawiedliwości nie mógł przecież dostać lepszego prezentu. A i sam wiceminister ochoczo podjął temat, snując swą ulubioną narrację o oderwanych od koryta elitach oraz normalnych Polakach z blokowiska, których „dobra zmiana” za jego pośrednictwem wreszcie dopuściła do głosu.

Wspominał w wywiadach, że całymi dniami kopał piłkę na żwirowym boisku, od czego do dziś ma na nogach blizny. Że chodził na mecze Odry Opole nawet wtedy, gdy drużyna obijała się po okręgowych szczeblach rozgrywek. Że wysiadując z kumplami na ławce pod blokiem, całymi godzinami potrafili dyskutować o tym, „jak to jest, że gwałciciele dostaną kary w zawieszaniu, a mordercy wychodzą na przepustki?”. Albowiem już wtedy, choć miał naście lat i niewiele życiowych doświadczeń, intuicyjnie kształtował w sobie zręby świadomości, że „III RP to tekturowe państwo” i „wystarczy dmuchnąć, a się przewróci”. W kolejnych latach podczas obserwacji polityki i dzięki lekturom („wszystko Ziemkiewicza”, a jeszcze Wildstein, Łysiak i Legutko) stopniowo krystalizował się światopogląd Jakiego. Aż wreszcie Jaki odkrył, że jego wielkim powołaniem jest zmienianie Polski.

Całe szczęście, będąc już poważnym politykiem, Patryk Jaki nadal nosi w sobie dawnego chłopaka z podwórka. To go chroni – jak podkreśla – przed „polityczno-korporacyjnym zepsuciem”. Impregnuje na „rozmowy autorytetów w TVN”, którzy dzielą włos na czworo i na koniec zawsze im wychodzi, że nic się nie da zmienić. A przecież człowiek może wszystko, jeśli tylko zechce. Trzeba tylko odblokować Polskę. ▶